

Załącznik 5

Drogi Uczestniku / Droga Uczestniczko Konkursu!

Wprowadzenie

Budzę się. Nastął kolejny, zwyczajny dzień roku 2148, żyję w świecie, który jest mi znany, a najbliższym moim zadaniem staje się napisanie na zaliczenie – bo szkoły wciąż istnieją – opowieści skierowanej do kolegów z dalekiej przeszłości. Muszę to zrobić tak, by przybliżyć im, jak funkcjonuje nieznaną im rzeczywistość, w której ja egzystuję na co dzień i co mi się w niej podoba, a co nie. Co więcej, muszę posiłkować się „starożytną” książką pana Stanisława Lema pod tytułem „Powrót z gwiazd”, z której mój edukator wybrał cztery fragmenty tekstu jako świetny wzór pisania o przyszłości. Przedstawiają one technologię, przestrzeń miasta, niewiarygodne zmiany w języku oraz funkcjonowanie społeczeństwa. Jest to dla mnie wyzwanie i nawet odrzucam myśl o wagarach na Księżycu (macie rację, nierozsądnie blisko), aby sprostać zadaniu. Koledzy z przeszłości... z 2021 roku? Kiedy to było! Kojarzę tylko te powolne światłowody i częstą czynność ładowania telefonów komórkowych. A zatem podsumujmy; opowiadanie zainspirowane gatunkiem science-fiction, w oparciu o książkę pana Lema, opisujące wady i zalety świata z roku 2148. Maksimum 4000 słów. Termin: do pięciu okrażeń Jowisza... przepraszam, po Waszemu, do listopada. Biorę się do roboty. I mam nadzieję Was zaskoczyć

* (skorzystaj z licznika słów i znaków w dowolnym edytorze tekstu)

Propozycje fragmentów (wybieramy jeden):

Fragment 1. Opis dworca

Fala idących zagarnęła mnie: popychany, ruszyłem w toku przed siebie. Upłynęła chwila, zanim zobaczyłem na dobre ogrom tej hali. Czy była to zresztą jedna hala? Żadnych ścian: biały, połyskliwy, wstrzymany na wysokości wybuch niewiarygodnych skrzydeł, między nimi kolumny, zbudowane nie z jakiegoś materiału, ale z zawrotnego ruchu. Pędzące w górę, olbrzymie wodotryski gęstszej od wody cieczy, prześwietlone od wewnątrz kolorowymi reflektorami? Nie; szklane pionowe tunele, którymi wzwyż śmigają korowody rozmazanych pojazdów? Nic już nie wiedziałem. Bezustannie popychany, potrącany w mrowiącym pośpiechu tłumów, usiłowałem przedostać się w jakieś puste miejsce, ale nie było tu pustych miejsc. Wyższy o głowę od otaczających, widziałem dzięki temu, że opustoszały pocisk oddala się - nie, to my płynęliśmy naprzód wraz z całym peronem. Z wysoka buchały światła, w których tłum iskrzył się i mienił. Teraz płaszczyzna, na której staliśmy

stłoczeni, iść poczęła w górę i zobaczyłem w dole już dalekie, podwójne białe pasy, zapchane ludźmi, z czarnymi rozziwami szczelin wzdłuż bezwładnych kadłubów - bo statków, jak nasz, były dziesiątki - ruchomy peron zakręcał, przyspieszał wchodził pod wyższe poziomy. Łopocąc, burząc wznieczanym wichrem włosy stojących, przelatywały na nich, jak na niemożliwych, bo pozbawionych wszelkiego podparcia wiaduktach, obłe, szybkością dygocące cienie, z wydłużonymi w smugi ogniami sygnałowych świateł, potem niosąca nas powierzchnia jęła się dzielić, rozwidlać wzdłuż niedostrzegalnych szwów, moje pasmo przesuwano się przez wnętrza pełne stojących i siedzących ludzi, otaczało ich mnóstwo drobnych błysków, jakby zajmowali się puszczeniem kolorowych ogni sztucznych. (...) Kiedy te rozmazane huragany pędu urywały się choć na chwilę, spoza nich wyłaniały się majestatycznie powolne, ogromne płaszczyzny, pełne ludzi, niby fruujące przystanie, które szły w różnych kierunkach, mijaly się, unosiły, zdawały przenikać wskutek złudzenia perspektywy. Trudno było oprzeć wzrok na czymkolwiek nieruchomym, bo cała otaczająca architektonika zdawała się złożona z samego właściwie ruchu, zmiany, i nawet to, co wzięłem pierwotnie za skrzydlaty strop, było tylko nawieszonymi kondygnacjami, które teraz ustąpiły miejsca innym, jeszcze wyższym. Naraz, przefiltrowany przez szkliwa stropów, owych kolumn zagadkowych, odbity od srebrnych płaszczyzn, wszedł we wszystkie załomy przestrzeni, wnętrza mijanych przepustów, w rysy ludzkich twarzy - ciężki purpurowy brząsk, jak gdyby daleko, gdzieś w sercu wielomilowej budowli, zapłonął atomowy ogień. Zieleń skaczących bez przerwy neonów stała się brudna, mleko parabolicznych przyborów żółzowiło. W tym nagłym przepojeniu powietrza było coś z zapowiedzi katastrofy, tak to przyjąłem, lecz nikt nie zwrócił na ową zmianę najmniejszej uwagi i nie umiałbym nawet powiedzieć, kiedy ustąpiła.

Fragment 2. Opis pociągu

Tłum, który mnie tu wniósł, zderzył się z innym, potem zrobiło się luźniej, wszyscy wsiadali do otwartego na przestrzał wagonu, nie, był tylko przezroczysty, jak odlany ze szkła, nawet siedzenia jak szklane, choć miękkie. Ani wiedziałem, kiedy znalazłem się w środku - jechaliśmy. Wagon gnał, ludzie przekrzykiwali głośnik powtarzający: "poziom Meridional, poziom Meridional, styki na Spiro, Blekk, Frosom", cały wagon topniał jakby, przekłuwany snopami świateł, ściany przelatywały smugami płomienia i barw, paraboliczne łuki, białe perony, "Forteran, Forteran, styki Galee, styki rastów zewnętrznych, Makra" - mamrotał głośnik, wagon zatrzymywał się i gnał dalej; odkryłem zadziwiającą rzecz: nie czuło się hamowania i przyspieszania, jakby zniesiona została bezwładność. Jak to było możliwe? Sprawdziłem, uginając lekko kolana, na trzech kolejnych przystankach. Na wirażach też nic. Ludzie wysiadali, wchodzili, na przedniej platformie stała kobieta z psem, nigdy takiego nie widziałem, był ogromny, z głową jak kula, bardzo brzydki, w jego orzechowych spokojnych oczach odbijały się pędzące wstecz, pomniejszone girlandy świateł. RAMBRENT RAMBRENT. Załopotano od biały i sinawych świetłówkowych rur, schody z krystalicznego blasku, czarne frontony, blask kamienia powoli, wagon stał. Wysiadłem i osłupiałem. Nad zagłębioną amfitrealnie tarczą przystanku wznosiła się wielopoziomowa, znana konstrukcja; byłem wciąż na dworcu, w innym miejscu tej samej gigantycznej hali, rozdętej białymi wymachami płaszczyzn. Skierowałem się ku krawędzi tego geometrycznie dokładnego zagłębienia - wagon odjechał już -

i przeżyłem kolejne zdumienie: nie na dole byłem, jak mi się wydało, znajdowałem się właśnie wysoko, ze czterdzieści pięter nad wstążkami widzialnych w otchłani chodników, nad srebrnymi pokładami wciąż miarowo szybujących peronów, wchodziły między nie długie, milczące cielska i ludzie wydostawali się z nich przez szeregi klap, jakby te potwory, te chromowane ryby składały w regularnych odstępach złogi czarnej i kolorowej ikry. Nad tym wszystkim, w oddali, poprzez mgiełkę odległości, widziałem poruszające się, jak po niewidzialnej linii, złote słowa: GLENIANA ROON POWRACAJĄCA DZIŚ NAGRANIEM MIMORFICZNEGO REALU ODDAJE W ORATORIUM HOŁD PAMIĘCI RAPPERA KERXA POLITRY. TERMINAL DZIENNIK DONOSI: DZISIAJ W AMMONLEE PETIFARGUE DOPROWADZIŁ DO SYSTOLIZACJI PIERWSZY ENZOM. GŁOS ZNAKOMITEGO GRAWISTYKA NADAMY O GODZINIE DWUDZIESTEJ SIÓDMEJ. PRZEWAGA ARRAKERA. ARRAKER POWTÓRZYŁ SWÓJ SUKCES JAKO PIERWSZY OBLITEROWIEC SEZONU W TRANSWAALSKIM STADIONIE.

Fragment 3. Przestrzeń miasta

Potem trafiliśmy na ruchomy chodnik; staliśmy na nim, osobliwa para, światła przepływały, czasem śmignął pojazd, jak odlany z jednej bryły czarnego metalu, nie miały okien, kół, nawet świateł żadnych, a pędziły jak ślepe, z niezwykłą szybkością. Te ruchome światła buchały z wąskich, pionowych szczelin, zawieszonych nisko nad ziemią. Nie mogłem się zorientować, czy mają coś wspólnego z ruchem i jego regulacją.

Od czasu do czasu niewidzialnym niebem przeciągał, wysoko nad nami, żałosny świst. Dziewczyna zeszła nagle z płynącego pasa, tylko po to, aby wejść na inny, który pomknął stromo w górę i naraz ujrzałem się wysoko, napowietrzna jazda trwała może pół minuty i zakończyła się na pełnym słabo pachnących kwiatów występie, jakbyśmy się dostali na taras czy balkon ciemnego domu wjechawszy przystawionym do ściany transporterem. Dziewczyna weszła w głąb tej logii, a ja oczami przywykłymi już do ciemności wyławiałem z niej wielkie sylwety okolicznych domów, bezokienne, czarne, wymarłe jakby, bo nie tylko brak było świateł - nie dobiegał także najśłabszy dźwięk, oprócz ostrego syku, zwiastującego przejazd ulicą tych czarnych maszyn; dziwiło mnie to, rozmyślne chyba, zaciemnienie, jak również brak reklamowych szyldów po neonowej orgii dworca, nie miałem jednak czasu na te rozmyślenia. Chodź, gdzie jesteś?! - usłyszałem szept. Widziałem tylko bladą plamę jej twarzy. Przyłożyła rękę do drzwi, otworzyły się, ale nie do mieszkania, podłoga miękko ruszyła wraz z nami - tu kroku nie można postąpić, pomyślałem, dziwne, że mają jeszcze nogi - ale ta ironia była lichej próby, brała się z nieustającego zaskoczenia, z poczucia nierzeczywistości wszystkiego, co działo się ze mną od wielu godzin.

Fragment 4. Rozmowa

- Kawuta? - poprawiła. - To... takie stadium, plastowanie, samo w sobie nic wielkiego, ale można się czasem dostać w realu...
- Czekaj... więc co ty właściwie robisz?
- Plast, no, nie wiesz, co to jest?
- Nie.

- Jak by ci... po prostu, robi się suknie, w ogóle stroje - wszystko...
- Krawiectwo?
- Co to znaczy?
- Szyjesz coś?
- Nie rozumiem.
- Wielkie nieba, czarne i niebieskie! Projektujesz modele sukien?
- No... tak, w pewnym sensie tak. Nie projektuję, tylko robię...
Dałem temu spokój.
- A co to jest real?

To ją naprawdę wzięło. Pierwszy raz popatrzyła na mnie jak na istotę z innego świata.

- Real to... real - powtórzyła bezradnie. - To są takie... historie, to się ogląda...
- To? - wskazałem na szklaną ścianę.
- Ach, nie, to jest wizja...
- Więc co? Kino? Teatr?
- Nie. Teatr, wiem co to było - to było dawniej. Wiem: tam byli prawdziwi ludzie.

Real jest sztuczny, ale nie można odróżnić. Chyba żeby tam wejść, do nich...

- Żeby wejść?...

Głowa olbrzyma przewracała oczami, zataczała się, patrzyła na mnie, jakby się doskonale bawił obserwowaniem tej sceny.

- Słuchaj, Nais - powiedziałem nagle - albo pójdę już, bo bardzo późno, albo...
- Wolalabym to drugie.
- Przecież nie wiesz, co chcę powiedzieć.
- To powiedz.

- Dobrze. Chciałem cię jeszcze zapytać o różne rzeczy. O wielkich, najważniejszych już trochę wiem; cztery dni siedziałem w Adapcie, na Lunie. Ale to było od wielkiego dzwonu. Co wy robicie - kiedy nie pracujecie?

- Można robić masę rzeczy - powiedziała. - Można podróżować, naprawdę albo mutem. Można się bawić, chodzić do realu, tańczyć, grać w tereo, uprawiać sporty, pływać, latać - co tylko chcesz.

- Co to jest mut?
- To trochę jak real, tylko że wszystkiego można dotknąć. Można chodzić tam po górach, po wszystkim - sam zobaczysz, tego się nie da powiedzieć. Ale zdaje mi się, że chciałeś spytać o coś innego?...

Fragment 5. Miasto

Szerokie stopnie płynęły w dół, srebrząc się jak oniemiały wodospad. Dziwiła mnie pustka; od opuszczenia Nais nie spotkałem ani jednego przechodnia. Eskalator był bardzo długi. Na dole jaśniała szeroka ulica, po obu stronach otwierały się w domach pasażę, pod drzewem o niebieskich liściach - ale może nie było to prawdziwe drzewo - zobaczyłem stojących, zbliżyłem się i odszedłem. Całowali się. Szedłem ku stłumionym dźwiękom muzyki, jakaś nocna restauracja czy bar, niczym nie oddzielona od ulicy. Siedziało tam trochę ludzi. Chciałem wejść do środka i spytać o hotel. Naraz gruchnąłem całym ciałem w niewidzialną przeszkodę. To była szyba, doskonale przezroczysta. Wejście było obok. W środku ktoś zaśmiał się, pokazał mnie innym. Wszedłem. Mężczyzna w czarnym trykocie, nawet podobnym trochę do mego swetra, ale z bufiastym, jak nadmuchanym, kołnierzem, siedział bokiem przy stoliku, ze szklanką w dłoni, i patrzył na mnie. Stałem przed nim.

Śmiech zastygł mu na półotwartych ustach. Stałem. Zrobiło się cicho. Tylko muzyka grała, jakby za ścianą. Jakaś kobieta wydała dziwny, słaby dźwięk, rozejrzałem się po nieruchomych twarzach i wyszedłem. Dopiero na ulicy przypomniałem sobie, że miałem spytać o hotel.

Wszedłem w pasaż. Był pełen wystaw. Biura podróży, magazyny sportowe, manekiny w różnych pozach. Właściwie nie były to wystawy, bo wszystko stało i leżało na ulicy, po obu stronach wzniesionego chodnika, który biegł środkiem. Kilka razy wziąłem poruszające się w głębi sylwetki za ludzi. Były to reklamowe kukły, wykonujące jedną i tę samą czynność w kółko. Jedną - lalka prawie tak wielka jak ja, z karykaturalnie nadętymi policzkami, grała na flecie - oglądałem dłuższą chwilę. Robiła to tak dobrze, że miałem ochotę się do niej odezwać. Dalej były sale jakichś gier, obracały się tam duże, tęczujące koła, z dźwiękiem sankowych dzwoneczków zderzały się luźno wiszące u stropu srebrne rurki, migotały pryzmatyczne lustra, ale wszystko było puste. Na samym końcu pasażu w ciemności błysnął napis TU HAHAHA. Znikł. Ruszyłem tam. Znowu rozjarzyło się TU HAHAHA i znikło jak zdmuchnięte. W następnym błysku dojrzałem wejście. Usłyszałem głosy. Wszedłem przez kurtynę ciepłego podmuchu.

Fragment 6. Księgarnia

Księgarnia przypominała raczej elektronowe laboratorium. Książki to były kryształki z utwaloną treścią. Czytać można je było przy pomocy optonu. Był nawet podobny do książki, ale o jednej, jedynej stronicy między okładkami. Za dotknięciem pojawiały się na niej kolejne karty tekstu. Ale optonów mało używano, jak mi powiedział robot-sprzedawca. Publiczność wołała lektony - czytały głośno, można je było nastawiać na dowolny rodzaj głosu, tempo i modulację. Tylko naukowe publikacje o bardzo małym zasięgu drukowano jeszcze na plastyku imitującym papier. Tak że wszystkie moje zakupy mieściły się w jednej kieszeni, choć było tego prawie trzysta tytułów. Garść krystalicznego zboża - tak wyglądały książki. Wybrałem sporo dzieł historycznych, socjologicznych, trochę statystyki, demografii i to, co dziewczyna z Adaptu poleciła mi z psychologii. Parę większych podręczników matematycznych, większych oczywiście w sensie zawartej treści, a nie rozmiarów. Robot, który mnie obsługiwał, sam był encyklopedią, dzięki temu, że - jak mi powiedział - jest bezpośrednio podłączony poprzez elektronowe katalogi z wzornikami wszelkich możliwych dzieł na całej Ziemi. W księgarni znajdowały się zasadniczo tylko pojedyncze "egzemplarze" książek, a kiedy ktoś ich potrzebował, utrwalano się treść pożądanego dzieła w kryształku.

Oryginały - krystommatryce - były niewidzialne, mieściły się za emaliowanymi bladym błękitem stalowymi płytkami. Tak więc książkę niejako drukowało się za każdym razem, kiedy ktoś jej potrzebował. Sprawa nakładów, ich wysokości, wyczerpywania przestała istnieć. Było to naprawdę wielkie osiągnięcie, a jednak żał mi było książek. Dowiedziawszy się, że istnieją antykwariaty z papierowymi książkami, odszukałem jeden. Rozczarowałem się; pozycji naukowych prawie nie było. Literatura rozrywkowa, trochę dziecięcej, nieco roczników starych pism.